

Co ciocia o tym sądzi?

Dostrzegłam, że najlepszym sposobem na moje ruchliwe dzieci będzie organizowanie wielu imprez i wycieczek. Gdy im zakomunikowałam o swoich planach prowadzenia lekcji na świeżym powietrzu – były zachwycone. Postawiłam warunek - sami będą je przygotowywać. Moim celem było usamodzielnienie dzieci, zintegrowanie ich poprzez wspólne działanie, ustalanie reguł i zasad w różnych sytuacjach.

Jadąc autobusem lub tramwajem, irytują mnie rozwrzeszczane dzieciaki w towarzystwie znerwicowanych opiekunów uciszających je - jeszcze głośniej.

Poinformowałam moich wychowanków, że mają wsiadać do tramwaju (lub autobusu) zawsze ostatnim, tylnym wejściem (bo takie jest moje widzimisie!), a w środku rozmawiać tak spokojnie, abym (nie daj Boże) nie musiała interweniować. Na dodatek, nikt z pasażerów nie ma prawa się zorientować, że to ja prowadzę grupę.

Tę zasadę przestrzegam do dzisiaj z pełną konsekwencją.

Lubię jeździć nawet z dużymi grupami. Poruszanie się po przestrzeniach wielkiego miasta nie wywołuje we mnie dodatkowego stresu dzięki czemu mogę skupić się na obserwowaniu wszystkiego co dzieje się wokół i odpowiednio reagować.

Pewnego razu jechałam z moimi uczniami na zawody - wtedy byli już w klasie ósmej. W radosnych nastrojach omawiali co ich czeka. Ponieważ dobrze wiedzieli, że nikt w tramwaju nie może rozpoznać kto jest ich wychowawcą, zwrócili się do mnie: **co ciocia o tym sądzi?**. Rozbawiło mnie to, ale też uzyskałam potwierdzenie, że akceptują mój sposób na kontrolę zachowań w środkach komunikacji miejskiej.



Organizowaliśmy mnóstwo wycieczek. Poznawaliśmy nasze miasto; wszystkie dzielnice, parki i ogrody.

Zawsze braliśmy ze sobą jakiś prosty sprzęt sportowy - choćby piłki lub talerze freesby, aby połączyć nasze wyprawy z tak im potrzebną zabawą ruchową.

W mojej klasie było dwudziestu chłopców i dziesięć dziewczynek.

W tamtych czasach uważałam, że podstawę sukcesów stanowi mój talent w dogadywaniu się z chłopcami. Niewiele musiałam robić, aby znaleźć z nimi wspólny język.

Z dziewczynkami o ruchliwym temperamencie też było mi świetnie.

Nie oznacza to, że zaniedbywałam moje spokojne dzieci, ale zdecydowanie w kontakcie z nimi czułam niewygodę. Do nich startowałam z pozycji czułości i serca, a dla reszty (tej bardzo temperamentnej) miałam, to czego oczekiwali - przekaz: **„ze mną będziecie się świetnie bawić”**.

Wyjęłam ze swojego 'katalogu zachowań' zasadę: w zabawach bądź dzieckiem!

Przez pierwsze dwa lata nieźle się z nimi bawiłam. Nie pamiętam, abym miała wtedy jakieś problemy. Jeżeli były, to chyba mało istotne, skoro ich nie pamiętam.

Spędzaliśmy mnóstwo czasu na wycieczkach. Najprzyjemniej wspominam te zimowe.

Z sankami jechaliśmy na pobliskie Stoki (rejon Łodzi) i do nieprzytomności hulaliśmy po śniegu. Po południu przyjeżdżał samochodem mój mąż i odbywał się gwóźdź programu. Po przywiązaniu wszystkich sanek i połączeniu ich z samochodem zaczynał się (oczywiście w bezpiecznym dla nas terenie) - kulig.

Wyobrażasz już sobie jaka to była frajda dla dzieci, które nigdy czegoś podobnego nie przeżyły? Mój, ośmioletni syn i ja, też świetnie się bawiliśmy.

Vis a vis tych gór, mieszkali rodzice mojej uczennicy. Na zakończenie eskapady, przemoczeni i zmarznięci, ale szczęśliwi, łądownaliśmy całą grupą u Marzeny na gorącej herbacie i kanapkach razowca z żółtym serem.

To dopiero była atrakcja!

8.5.99